

SUKNIA  
Z WILGOTNEJ  
MGŁY



KATARZYNA KUŚMIERCZYK

SUKNIA  
Z WILGOTNEJ  
MGŁY

WARSZAWA 2022

© Copyright by Katarzyna Kuśmierczyk

Wydawnictwo: KDSYSTEM  
wydawnictwo@kdsystem.com.pl

Korekta:  
Bożena i Janusz Sigismundowie

Skład i przygotowanie do druku:  
Adrian Szatkowski

Druk i oprawa  
Sowa sp. z o.o.  
ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno  
www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-948872-1-6

*Mojej ukochanej Babci Mariannie*



## PROLOG

Dlaczego ja?

Patrzę na swoje życie i po raz kolejny zastanawiam się: dlaczego?!

Bo było mi za dobrze? Bo byłam zbyt pewna siebie? A może chciałam zbyt wiele? Bo zawsze doświadczałam wszystkiego rozumem i kpiłam z mrocznych powieści?

Podobno los karze zadufanych, niepokornych i tych, którzy nie potrafią się cieszyć tym, co mają, a ja zawsze miałam wszystkiego za mało.

Odkąd pamiętam, ciągle pragnęłam więcej. Wyznaczałam sobie niemożliwe do realizacji cele... a potem w jakiś niepojęty sposób je zdobywałam. Jeden po drugim. Wdrapywałam się na szczyty, żeby po dotarciu na miejsce stwierdzić, że to znowu nie to. Nie wiem, kiedy sama zaczęłam nazywać tę swoją walkę „syndromem pustych rąk”. Bo jak inaczej można nazwać fakt, że masz wszystko, a jednocześnie nic cię nie cieszy i nie czujesz się zaspokojona? To tak jakby stale pić wodę i nigdy nie ugasić pragnienia. To chyba właściwe porównanie. Tak właśnie czułam się przez te wszystkie lata.

Ktoś powie, że los w końcu słusznie mnie pokarał (patrz: zachłanna żona rybaka z bajki o złotej rybce), ale ja nie miałam rybki spełniającej życzenia. Sama musiałam je sobie spełniać. I spełniałam. Twardo stąpając po ziemi, dzień po dniu, wyzwanie po wyzwaniu, cel po celu. Zawsze zwyciężałam! Nieugięta i niepokonana!

W moim życiu wszystko było pozornie idealne.

Dlaczego pozornie? Bo z reguły nic nie jest takie, jakie nam się wydaje. Mój znajomy kiedyś powiedział, że w wersji eksportowej

Katarzyna Kuśmierczyk

sprzedajemy nasze życie przepuszczone przez Photoshopa. Coś w tym jest. Kiedy byłam dzieckiem, nie było ani powszechnie dostępnych komputerów, ani programów „upiększających”. Jak ktoś był brzydki, to tak wyglądał na zdjęciu, czasem tylko litościwy fotograf odrobinę podretuszował fotkę, ale w efekcie końcowym i tak była podobna do pierwowzoru.

Niby wszystko było prawdziwe i nic się nie dało podrasować. Ale nie nasze życie. Bo ono już wtedy było „obrabiane”, „modyfikowane” i „ulepszane” w zależności od sytuacji i potrzeby chwili. Już wtedy ta eksportowa wersja odbiegała od oryginału.

Era Facebooka, Instagrama i innych mediów społecznościowych tylko tę dysproporcję pogłębiła. Nikt już nie wiedział, co jest prawdą, a co fikcją. Ludzie zaczęli wierzyć w to, co widzą na ekranie monitora. Wszechogarniający ekshibicjonizm spowodował wyścig, kto jest fajniejszy, ładniejszy, ma bogatsze życie i więcej kasy. Hipokryzja, demagogia i zakłamanie *master level*. Tak wygląda dzisiejsza rzeczywistość. Rzeczywistość, w której wyrosłam, funkcjonowałam i w której miałam się zestarzeć.

I wtedy zawalił się mój cały świat. Przez jeden głupi SMS...



# I

Komórka wibrowała jak szalona. Nie zamierzałam odbierać tego połączenia. Moja matka po raz dwudziesty trzeci zamierzała zapytać, czy już dotarłam na miejsce i dlaczego jeszcze do niej nie oddzwoniłam?

Byłam zmęczona. Zmęczona wielogodzinną drogą, zmęczona jej nagłym zainteresowaniem i niespotykaną nadopiekuńczością, a przede wszystkim zmęczona wydarzeniami ostatniego miesiąca.

W końcu niecodziennie człowiek przyłapuje swojego męża na zdradzie, rozwodzi się i rzuca w cholerę swoje dotychczasowe, perfekcyjne życie.

\* \* \*

O tym, że Witek mnie zdradza dowiedziałam się ostatnia. Taki stereotyp – wiedzą wszyscy, tylko nie zdradzana żona. Pewnie nie wiedziałabym o tym do dzisiaj, ale nie potrafiłam znaleźć swojego telefonu. Przeszukałam cały dom i „diabeł ogonem nakrył” – nigdzie go nie było.

– Kochanie, nie widziałeś mojej komórki? – zapytałam.

To było raczej pytanie retoryczne, bo kiedy mój mąż wgapił się w laptopa, zapominał o bożym świecie.

– Uhm – usłyszałam w odpowiedzi.

– Taaa – westchnęłam do siebie, sięgając po jego telefon, żeby wybrać mój numer i namierzyć zgubę. Wtedy usłyszałam charakterystyczny odgłos otwieranego kapsla, który mój mąż ustawił sobie jako sygnał przychodzących wiadomości.

Nie wiem, dlaczego otworzyłam tego SMS-a, nigdy tego nie robiłam. Przez blisko dwadzieścia lat naszego małżeństwa nie przyszło mi

do głowy sprawdzać, szpiegować czy kontrolować Witka. Nie grzebałam w jego portfelu, telefonie czy laptopie, nie przeglądałam przyniesionych do domu dokumentów, nie znałam haseł do kont portali społecznościowych i nie sprawdzałam, dokąd wychodzi z kumplami. Teraz to był odruch bezwarunkowy, trzymałam w ręku telefon, zadzwijał sygnał wiadomości, więc ją otworzyłam.

Przez chwilę wpatrywałam się w ekran, nie bardzo mogąc zrozumieć, na co patrzę. Nogi się pode mną ugięły i z impetem usiadłam na fotelu.

– To musi być jakaś pomyłka – jęknęłam. Z ekranu smartfona „spoglądał” na mnie kobiecy biust pokazanych rozmiarów. Mimo dramatyzmu sytuacji poczułam lekkie ukłucie zazdrości, niezły był ten biust. Ocknęłam się z chwilowego stuporu i zaczęłam skrolować ekran. Zdecydowanie to nie była pomyłka. Poprzednie wiadomości ukazywały kolejne, równie imponujące, części kobiecego ciała, przedstawiały zachwyty mojego małżonka i cały ciąg infantylnej korespondencji, której za nic na świecie nie chciałam przeczytać.

Wtedy właśnie dowiedziałam się, co czuje zdradzana żona i jak idiotycznie tłumaczy się zdrażający mąż.

\* \* \*

Potem było zadziwiająco przyzwoicie. Rzekłabym nawet: kurtuazyjnie. Zaskakujący i bezproblemowy podział majątku i kompletnie beznamiętny, uprzejmy rozwód. Chyba najbardziej zaskoczony był Witek. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie przypuszczał, że zgodzę się, a właściwie zażądam rozwodu, że odpuszczę orzekanie o winie, ani że zostawię mu wypasioną willę na wrocławskim Biskupinie. On z kolei niczego nie tłumaczył, z pokorą zgadzając się na każdą moją, nawet najbardziej absurdalną, decyzję. Nie minęły

cztery miesiące i ponownie stałam się wolną kobietą, bez męża i wrocławskiego adresu, ale za to z jakże okazałym bagażem doświadczeń.

Nie wiedziałam, czy dobrze robię, ale podświadomie czułam, że muszę coś zmienić w swoim poukładanym i jakże sfotoszopowanym życiu. W chwili kiedy odebrałam tę nieszczęsną wiadomość, coś we mnie umarło, ale to, co się narodziło, rozpaczliwie domagało się mojej uwagi. Zdałam sobie sprawę, że poza chwilowym bólem spowodowanym zdradą, jak mi się wtedy wydawało, najbliższego człowieka, poczułam ogromną ulgę. Nagle dotarło do mnie, że nie Kocham już swojego męża. Nasze uczucie dawno się wypaliło, a my się chyba nawet już nie lubiliśmy. Nie mieliśmy dzieci, wspólnych znajomych, podobnych zainteresowań. Witek lubił komiksy, filmy science fiction, sport i wędkowanie, ja teatr, czarno-białe kryminały, książki i podróże. Nie znosiliśmy swoich rodzin, nawet wakacje zaczęliśmy spędzać osobno. Codziennie mijaliśmy się więc uprzejmie, rozmawiając o tym, co będzie na obiad lub że trzeba naprawić cieknący kran, czasem tylko decydując się na nudny, żeby nie powiedzieć rutynowy seks.

Teraz byłam całkowicie wolna. Liczyłam się tylko ja! I koniecznie musiałam coś zmienić w swoim życiu. Na samą myśl, że jutro mam włożyć kostium i z przyklejonym uśmiechem iść do biura, dostawałam mdłości. Dlatego przy podziale majątku zażądałam naszego domu na Suwalszczyźnie. Jeżeli można go w ogóle nazwać domem.

\* \* \*

Od zawsze kochałam Podlasie. Może dlatego, że przypominało mi trochę Lubelszczyznę, gdzie spędzałam wszystkie wakacje i święta. Ściana wschodnia ciągnęła mnie jak magnes i odkąd pamiętam, miałam żal do rodziców, że się wyprowadzili do Wrocławia, zostawiając na Lubelszczyźnie całą rodzinę. Na Podlasiu podobało mi się wszystko.

Wolniejszy rozwój regionu, który powodował, że czułam się tam, jakbym cofnęła się w czasie, śpiewny akcent i tradycyjne podejście do życia, jakże inne od dzisiejszej miejskiej gonitwy. To co moi znajomi nazywali zacofaniem, dla mnie było magicznym wabikiem, który kusił mnie nieustannie.

Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy z Witkiem na Suwalszczyznę, wiedziałam, że kiedyś tu zamieszkam. Najlepiej w jakiejś kompletnej dziuzcy i koniecznie nad jeziorem. Ten najpiękniejszy zakątek Podlasia od razu skradł moje serce. Położony pośród Gór Sudawskich, i z racji tego nazywany małymi Bieszczadami, fundował krajobrazy jak z baśni. Naturalne jeziorka ukryte pośród pagórków, lasy, rzeczki i łąki, jakich próżno szukać w innych częściach kraju. Do tego klangor żurawi zrywających się do lotu i koncerty świerszczy, głośniejsze niż cykady słyszane podczas zagranicznych wojaży. To było jak pradawna magia.

Od tamtej pory z wypiekami na twarzy śledziłam oferty sprzedaży działek pojawiające się w Internecie. Tak trafiłam na Bieluszewo. Małą wioskę z dziesięcioma numerami. Ten dziesiąty miał być nasz.

Mój mąż nie był zbyt optymistycznie nastawiony do tego pomysłu.

– Do reszty zgłupiałaś – to był jedyny komentarz, na jaki się zdobył, kiedy zakomunikowałam, że chcę kupić ziemię na Suwalszczyźnie. Cudem udało mi się go przekonać, że to wyjątkowa okazja i inwestycja na lata. I pojechaliśmy.

Działka była jeszcze ładniejsza niż na zdjęciach. Pagórkowaty teren, ponad hektar olszowego lasu, do tego dwa razy tyle łąki i nieużytków. Ale najważniejsze, że działka przylegała do Jeziora Bieluszewskiego, wprawdzie niezbyt dużego i dość płytkiego, ale miałam swoją wymarzoną linię brzegową. Potok wyznaczający południowo-wschodnią granicę działki dopełniał tego cudu natury. Łąka pachniała i brzęczała, tętniąc odgłosem setek owadów. W przybrzeżnym tataraku zatrzepotała czapła siwa, a spłoszona sarna schowała się w lasku. Oczy mi się

zaświeciły. Już wiedziałam, że nie odpuszczę. To było moje miejsce na ziemi i musiałam je mieć!

Najgorsze wrażenie sprawiał dom, a właściwie chatka zamknięta na skobel. Dwie niewielkie izby z niedomykającymi się oknami, rozpadający się piec kaflowy, zardzewiały kran i wygodka na dworze. Kiedy do niego weszłam po raz pierwszy, poczułam się nieswojo. Nie wiem, czym to było spowodowane, ale miałam wrażenie, że nie powinnam tam być. Ze ścian spoglądały na mnie święte obrazy, chyba jedyna rzecz, która nie została zniszczona w tym wnętrzu. Kąty zasnułe pajęczynami, z których próbowały wyrwać się tłuste, brzęczące muchy. I wszechobecny paskudny, mdlący zapach, który nie przypominał niczego, co potrafiłabym zidentyfikować.

W drugim pokoju było równie koszmarnie, wszędzie wałały się brudne szmaty, połamane sprzęty i siano z rozprutych sienników. W kącie stało zdeformowane, przerdzewiałe wiadro z jakąś burą, cuchnącą breją. Były też butelki po wódce i ekskrementy, co tłumaczyło unoszący się odór. Widać, że niejedna impreza się tu odbyła. Pod powałą smętnie wisiał pęk zakurzonych ziół, których nikt już nie był w stanie rozpoznać.

Mój wzrok przyciągnęło stare monidło oparte o okno. Podobnie jak w pierwszej izbie, również nietknięte przez lokalnych balangowiczów. Zakurzony obraz, oprawiony w drewnianą, poślaczoną ramę, przedstawiał młodą, odświętnie wystrojoną parę. Spoglądała na mnie piękna dziewczyna, z blond warkoczem zaplecionym w koronę, w który upięto kwiaty. Miała niezwykle delikatne rysy twarzy, piękne brwi i pełne usta. Tylko oczy nie pasowały do całości. Malunek utrzymany był w stylu epoki, kiedyś lekko barwiony, teraz pożółkły i wyblakły, za to oczy były intensywnie błękitne, wyglądały, jakby ktoś niedawno je pomalował. Świdrujące, pełne bólu i niepokoju. Przeniosłam wzrok na jej towarzysza. Miał sumiaste wąsy i odrobinę azjatyckie rysy twarzy, poza tym

nie wyróżniał się niczym szczególnym. Przy swojej pięknej towarzysze był niemal niewidoczny. Ona ubrana w białą, marszczoną na ramionach suknię z wysokim krochmalonym kołnierzem i wieloma perłowymi guziczkami biegnącymi od szyi w dół, pracowicie odtworzonymi przez malarza. On w czarny, niczym niewyróżniający się garnitur, z szerokimi klapami i koszulę zapiętą pod samą szyję.

Ale było tam coś jeszcze. Obok obrazu ktoś postawił gałgankową laleczkę. Nie miała twarzy, główkę opasywał warkocz z żółtej włóczki, ktoś wystroił ją w pasiastą spódniczkę i kwiecistą chustkę. Wyglądała trochę jak słowiańska motanka.

Nie wiedzieć czemu poczułam, jakby jakaś żelazna pięść zaciśnęła mi się na żołądku. Przez chwilę nie mogłam złapać tchu, a moje ciało oblał zimny pot. Zakręciło mi się w głowie i z trudem utrzymałam równowagę. Serce tłukło mi się jak oszalałe.

– Wyjdźmy stąd! – Witek zauważył moje zachowanie i złapał mnie mocno za rękę. – Widzieliśmy już chyba wszystko.

Nie zamierzałam się opierać. Odwróciłam się bez słowa i posłusznie poczłapałam za nim do wyjścia.

To wszystko wina upału i tego obrzydliwego zapachu – tłumaczyłam sobie. Ale nie potrafiłam wyrzucić z pamięci przeszywających, lazurowych oczu i małej obskurnej laleczki.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia skontaktowaliśmy się z pośrednikiem, a za kilka tygodni staliśmy się dumnymi posiadaczami zabudowanej nieruchomości w Bieluszewie.

To było dobre kilka lat temu. Przez jakiś czas działka zarastała, ciesząc tylko okoliczną, dziką zwierzynę, która uznała nasz las za bezpieczną ostoję. Ale półtora roku temu rozpoczęliśmy budowę całorocznego

domu letniskowego. To miało być miejsce, do którego będziemy mogli uciec przed zgiełkiem wielkiego miasta, wyłączyć telefony i ukoić skołataną myśl. Teraz na fundamentach starej, rozpadającej się chałupy stał mały, ale funkcjonalny domek. Z tamtego koszmaru została tylko piwnica. Taka prawdziwa, w części z polepą zamiast betonu, co według pana Staśka, który remontował nasz dom, miało zapewnić lepsze i dłuższe przechowywanie warzyw i owoców.

Projekt zrobił nam znajomy Witka. Chciałam, żeby dom korespondował z okoliczną zabudową i nawiązywał do dawnych domów suwalskich. Żadnych ozdobników, szprosów, jaskrawych kolorów czy łamańców dachowych, prostota w czystej postaci. Podmurówka i wykończenia przyziemia budynku zostały wykonane z kamienia polnego, w oknach zamontowano drewniane okiennice, a do środka zapraszał piękny, ręcznie rzeźbiony ganek z ławeczką, uratowany ze starej chałupy, rozbieranej w pobliskiej miejscowości. Na parterze domu posadowiono salon połączony ze sporą kuchnią, w której miałam prawdziwy kaflowy piec z duchówką, przedpokój i malutką toaletę. Wyzwaniem było znalezienie zduna, ale nasz majster polecił nam fachowca z pobliskiej Żelazkowizny, który okazał się prawdziwym mistrzem i podjął się również wykończenia kominka, wyłożonego ciętym kamieniem. Na piętrze była duża sypialnia, łazienka i gabinet, który miał służyć także za pokój gościnny. Wszystko w drewnie, kamieniu i glinie, jednym słowem wiejska sielanka.

Problem w tym, że wprowadzie dom już stał, ale w stanie, który przez fachowców określany jest „deweloperskim”. Ogromna odległość, jaka dzieliła nas od miejsca zamieszkania, nie sprzyjała przebudowie, a już na pewno dotrzymany terminów przez naszego majstra, który po cichu, równolegle, prowadził kilka innych zleceń.

No i rzadko tam bywałam, a w zasadzie od czasu kupna siedliska, byłam tylko cztery razy. Po chwilowym zachłystnięciu się tym cudownym

miejszem, przyszedł czas na szarą rzeczywistość. Moje kłopoty ze zdrowiem, potem śmierć ukochanej babci, awans w pracy, a co za tym idzie zwiększenie zakresu obowiązków, spowodowały, że goniłam w piętkę. Marzenia musiałam chwilowo odłożyć na półkę, a ostatnie, czym dysponowałam, był nadmiar wolnego czasu.

\* \* \*

Teraz jechałam do tych niewykończonych wewnątrz i dopiero podczas podróży docierał do mnie bezmiar mojej głupoty. Był koniec listopada, lodowate noce i krótkie deszczowe dni. Nie miałam tam rodziny, znajomych, pracy. Ekipa remontowa po raz kolejny odwaliała fuchę na boku, a ja nawet nie potrafiłam włączyć pieca, nie mówiąc nawet o tym, że nie byłam pewna, czy piec w ogóle działa. Mimo to uparłam się, że pojedę właśnie dzisiaj. Spakowałam podręczną torbę, karamatę, śpiwór, legowisko i jedzenie Nuki, dorzuciłam puszkę kawy, trzy butelki merlota i wyruszyłam w drogę. Na szczęście miałam na tyle instynktu samozachowawczego, żeby w trasie zadzwonić do mojego starszego brata, który mieszkał w Warszawie. Wysłuchał w milczeniu mojego chaotycznego biadolania i wkładając w to całą swoją charyzmę, zaczął tłumaczyć mi, że powinnam zanocować u niego, a w sobotę razem pojedziemy do Bieluszewa.

– Mowy nie ma – warknęłam. – Jakoś sobie poradzę bez ciebie. – Mój głos zadrział, a do oczu napłynęły łzy. Michał znał mnie jak nikt, wiedział, że dalsza dyskusja nie ma najmniejszego sensu i cokolwiek by teraz powiedział i tak postawię na swoim.

– Będę jutro – sapnął niezadowolony – ale dopiero wieczorem. Musisz jakoś wytrzymać. A masz przynajmniej kupione wszystkie materiały? Piec działa? Woda i prąd podłączone? – zasypał mnie gradem pytań.



– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą.

Nie miałam zielonego pojęcia, co tam zastanę, chociaż teoretycznie roboty powinny zakończyć się w lipcu. Ostatni raz byłam w Bieluszwie na początku lata i poza oknami, drzwiami wejściowymi i hydrauliką, niewiele tam było. Teraz, jeżeli wierzyć panu Stanisławowi, zostały położone tynki, drewniane podłogi, zamontowane wszystkie instalacje i przyłącza. Teoretycznie pozostało malowanie, biały montaż i położenie płytek. Ale czy rzeczywiście tak było? Kilkukrotnie relacje telefoniczne naszego majstra zdecydowanie wyprzedzały rzeczywistość, więc nie wiedziałam, czego się spodziewać.

– Ty, siostra, do reszty zdurniałas? – raczej stwierdził, niż zapytał. – Najpierw z dnia na dzień rzuciłś Witka, potem świetnie płatną pracę, za którą większość ludzi na kolanach dziękowałaby Bogu, a teraz jedziesz do tej wichury, nie wiedząc, co tam zastaniesz? To jakiś kryzys wieku średniego? Jesteś kompletnie nieodpowiedzialna... – wyrzucił z siebie.

Zrobiło mi się przykro. Wiedział, że to Witek mnie zdradził, a mimo to, w ocenie rodziny, ja byłam winna. Ale poza tym miał rację. Z dnia na dzień zostawiłam całe swoje życie i bez żadnego planu jadę na drugi koniec Polski. Ja, która nawet niespodzianki musiałam mieć zaplanowane. Nawet jeżeli podjęłam decyzję o przeprowadzce, mogłam zrobić to inaczej. W firmie błagali, żebym została przynajmniej do końca roku, Witek też mnie z domu nie wyrzucił, a właścicielka obfitych kształtów, jak na razie, nie pojawiała się na horyzoncie. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby spokojnie wykończyć dom i przeprowadzić się na wiosnę.

Nie potrafiłam tego wytłumaczyć, ale nie mogłam dłużej czekać. Ani jednego dnia. Ani godziny. Czułam, że muszę się wyrwać z Wrocławia i z tego zakłamanego środowiska wzajemnej adoracji i klepania po pleckach. Miałam dość hipokryzji, zakłamania i dwulicowych

znajomych, którzy w ciągu dnia, w zależności od osoby i sytuacji, bez skrupułów potrafili zmienić poglądy. Coś ciągnęło mnie do Biełuszewa, chociaż tak naprawdę nic, ani nikt tam na mnie nie czekał.

Miałam nieco oszczędności, które przy racjonalnym i oszczędnym trybie życia, pozwoliły mi przetrwać nawet rok. Zamówiłam więc ciężarówkę, spakowałam moją część mebli, książki, resztę rzeczy, i właściwie byłam gotowa zamknąć za sobą drzwi. Może gdyby Witek protestował, próbował mnie zatrzymać, zawahałabym się i przemyślała swój zwariowany plan. Ale on w milczeniu, ze wzrokiem zbitego psa i pokorą pomagał mi nosić kartony. Paradoksalnie jego zachowanie spowodowało, że przez chwilę to ja poczułam się winna. Cała ta sytuacja była coraz bardziej krępująca i potwornie męcząca psychicznie. Chciałam już tylko uciec jak najszybciej, odcinając się od przeszłości i nie oglądając za siebie.

Teraz nie potrafiłam skupić się na tym, co mówi Michał. Pewnie miał rację, ale nie miałam siły już tego słuchać.

– Dziękuję i do zobaczenia jutro – przerwałam jego wywody i beceremonialnie zakończyłam połączenie.

To był mój czas i dam sobie radę. Z nim albo bez niego, ale nie chcę już wysłuchiwać ciągłego pouczenia.

Odkąd pamiętam, zawsze robiłam to, czego ode mnie oczekiwano. Najpierw starałam się usatysfakcjonować moją wiecznie niezadowoloną, zimną i zapatrzoną w brata matkę, potem nauczycieli, szefów, aż w końcu męża. Ciągłe starałam się zapracować na czyjeś uznanie, miłość i akceptację. Teraz miałam tego serdecznie dość. Po latach poukładanego i zaplanowanego życia miło będzie, dla odmiany, popełnić jakieś spontaniczne szaleństwo i zacząć spełniać własne zachcianki. Dzisiaj był pierwszy dzień mojego nowego życia i nie dam go sobie zepsuć. Na przekór wszystkim zamierzam być szczęśliwa, choćbym miała to szczęście codziennie budować od nowa, wydzierając go z łap zachłannego świata!

## II

Dochodziła dziewiętnasta. Z moich wyliczeń wynikało, że powinnam być już na miejscu. Niestety moja samochodowa ładowarka przestała działać i bateria smartfona ledwie zipała. Od kilku minut próbowałam radzić sobie bez automapy. Byłam wściekła, wielokrotnie prosiłam Witka, żeby do niej zajrzał, ale jak z większością problemów, i z tym będę musiała zmierzyć się sama.

– Gdzieś tu powinien być zjazd – wymruczałam. Nuka z zainteresowaniem podniosła pysk i przywarła do okna, zupełnie jakby rozumiała, o co mi chodzi.

– Cholera! – W ostatniej chwili zahamowałam i gwałtownie skręciłam kierownicą. Przedemną błysnęła zielona tablica Bieluszewa. Jeszcze kilkaset metrów i będziemy na miejscu. Zwolniłam, i pamiętając jak nierówna i wyboista droga prowadzi do siedliska, starałam się omijać błotniste kałuże. Na dworze panowały nieprzeniknione ciemności, wiatr zawodził złowieszczo i wyginał drzewa, a deszcz nasilał się z każdą minutą.

Przedemną, w świetle reflektorów, wyłonił się dom stojący na wzgórzu. Mój dom. Przynajmniej z zewnątrz prezentował się okazale i wyglądał na całkowicie wykończony. Był naprawdę piękny, dokładnie taki jaki sobie wymarzyłam i nawet w strugach deszczu zachwycał swoimi proporcjami, prostotą i dopracowaniem szczegółów.

Zaparkowałam jak najbliżej wejścia i z niepokojem wyjęłam pęk kluczy. A co jeżeli nie będą pasować? Nuka zapisała z radości, kiedy wypięłam ją z szelek. Rozpryskując kałuże, zaczęła kręcić kółka po podwórku. Jej czekoladowe futerko natychmiast pociemniało od wody, a krótkie łapki ociekały błotem.

– Boże, w czym ja cię umyję? – jęknęłam zrezygnowana.

Na dworze panowało przenikliwe zimno, szum deszczu i drzew, a do tego zupełnie nieznane odgłosy ptaków przyprawiały mnie o gęsią skórkę. Nerwowo grzebałam w torebce, próbując namierzyć komórkę, żeby oświetlić zamek. Zabawne, ale ja nawet nie potrafiłam dokładnie odtworzyć rozmieszczenia i ilości roślinności pod moim domem. Wiedziałam tylko, że na wzgórzu rośnie stary sad, a na granicy działki ciągnie się rząd olsz i brzoź. Teraz za plecami miałam ciemną, szemrzącą ścianę i nieodparte wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Moja wyobraźnia pracowała jak szalona, bałam się odwrócić, żeby nie zobaczyć tego, co podpowiada mi podświadomość. W końcu udało mi się wyciągnąć telefon i z duszą na ramieniu włożyłam klucz do zamka. Poczułam lekki opór, który zaraz zamienił się w cichy chrobot.

– Pasuje. – Odetchnęłam z ulgą, naciskając klamkę.

Na ślepo wymacałam włącznik. Pora na chwilę prawdy.

– Działa! – pisnęłam zachwycona, kiedy przedpokój załała fala mdłego światła, wydobywającego się z gołej żarówki, dyndającej na kawałku kabla.

Wytarłam łapy Nuki, weszliśmy do środka i natychmiast zarygłowałam drzwi, odcinając się od szumiącej ściany deszczu, drzew i tego, co się czai na zewnątrz.

Dopiero teraz mogłam rozejrzeć się po wnętrzu. Było nawet lepiej, niż mówił pan Stasiek. Dół wydawał się całkiem skończony. Na środku salonu pysznił się kominek z kamienia polnego, pod którym ułożono stosik suchego, pociętego drewna, i nawet ściany były pomalowane. Szybko przeszłam do kuchni i zamurowało mnie z wrażenia – kafelki też były położone! Białe płytki metro przepięknie współgrały z nieco większymi, ale utrzymanymi w podobnym stylu, kafkami piecowymi. Wygląda na to, że ekipa, wiedząc, iż zamierzam przyjechać wcześniej, zdecydowanie przyspieszyła tempo prac. Czy

też raczej powinnam powiedzieć, że próbowała nadgonić zaległości. Zawróciłam do przedpokoju i z ciekawością uchyliłam drzwi toalety, tu wprawdzie płytek nie było, ale sedes i umywalka stały na swoim miejscu.

– Nuka, jesteśmy uratowane! – Chciało mi się płakać ze szczęścia, kiedy z odkręconego kranu i naciśniętej spłuczki poleciała woda. – Idziemy sprawdzić górę.

Niestety, na poddaszu światło nie działało, musiałam więc jeszcze raz pójść do samochodu po przenośną lampę. Wystarczyła chwila, żebym znowu przemokła do cna. Na szczęście na brak światła byłam przygotowana, ba! miałam nawet pudełko świec.

Teraz mogłam dokładnie obejrzeć poddasze. Góra rozczarowywała, chociaż nie powinna, bo wyglądała tak, jak opowiadał majster. Drewniane podłogi i tyle. Farby i akcesoria malarskie ustawione w kącie, w łazience niepodłączona armatura, pudełka z kafelkami złożone pod ścianą. Czyli wszystko do roboty.

Przeniknął mnie dreszcz, dopiero teraz poczułam, jak tu jest zimno. Z ust przy oddechu unosiła mi się para. W domu musiało być nie więcej niż 2–4 stopnie.

– Chodź, piesku, nic tu po nas – odwróciłam się w stronę schodów.

Wprawdzie nie potrafiłam uruchomić pieca, ale mogłam napalić w kominku. Miał płaszcz wodny, więc ogrzeje trochę cały dom. Zdecydowałam, że dzisiaj śpimy na dole. Od paleniska będzie ciepło, no i będę mogła podrzucać drewno.

Znowu powiało chłodem. Czyżby robotnicy zostawili uchylone okno? Ponownie weszłam do sypialni, omiatając światłem wszystkie kąty i poczułam, że robi mi się niedobrze. Na parapecie stało monidło ze starej chaty, z którego intensywnie błękitnymi oczyma wpatrywała się we mnie blond piękność. Obok poukładano święte obrazy, a na nich ktoś posadził motankę w pasiastej spódniczce.

Zadrzałam, miałam wrażenie, że to jakiś ponury żart. Kto i po co przyniósł tu te rzeczy?! To idiotyczne, ale nie potrafiłam oderwać od niej oczu, czułam, jakby przewiercała mnie na wylot. W świetle lampy błyskały w nich gniewne ogniki. Przez chwilę wydało mi się nawet, że widzę w nich niezadowolenie. Tak jakbym bez zaproszenia wtargnęła na jej teren. Niespodziewanie laleczka przechyliła się do przodu i stoczyła na podłogę. Drgnęłam nerwowo, a Nuka zapiszczała żałośnie i z podkulonym ogonem przywarła do mojej nogi. Czułam, jak coraz szybciej łomocze mi serce.

– Dosyc tego! – Zebrałam obrazy i umieściłam na nich lalkę. – Dzisiaj nocujecie w samochodzie, a jutro pomyślę, co z wami zrobić. – Tylko tego brakowało, żebym pierwszą noc w nowym domu spędziła, drżąc ze strachu przed szmacianą lalką i dziewczyną z zakurzonego malowidła. Wprawdzie na samą myśl, że znowu mam wyjść na dwór, zadygotałam z zimna, ale zdecydowanie wolałam to niż pozostawienie w środku tego paskudztwa.

\* \* \*

Dochodziła dwudziesta trzecia, kiedy opatulona w gruby dres umościłam się wreszcie w śpiworze. Okazało się, że palić w kominku też trzeba umieć i wcale nie jest to takie proste. Teraz dumna z siebie wpatrywałam się w tańczący ogień, czując na twarzy przyjemne ciepło. Pociągnęłam długi łyk wina. Pyszne, ale chyba nikt by nie uwierzył, gdyby mnie teraz zobaczył. Nie dość, że od rana nic nie jadłam, całkowicie zapominając o zakupach, i teraz piłam na pusty żołądek, to na dodatek nie miałam żadnej szklanki, więc sączyłam merlota prosto z butelki. Uśmiechnęłam się do siebie, jeszcze niedawno prędzej odstawiłabym wino na półkę, niż piła je w taki sposób.

Czułam, jak powoli robi mi się błogo. Żar bijący z kominka, wtulona we mnie Nuka i wypity alkohol spowodowały, że zaczęłam robić się senna. Deszcz miarowo uderzał o okna, gdzieś w oddali zahuczała pójdzka. Tak będzie wyglądało teraz moje życie. Tylko czy na pewno byłam na nie gotowa? – pomyślałam, zamykając oczy.

\* \* \*

Nie wiem, co mnie obudziło, ale czułam się nieswojo. Miałam wrażenie, że śniło mi się coś bardzo ważnego, co koniecznie powinnam zapamiętać. Bezskutecznie próbowałam przywołać resztki snu, jednak z każdą chwilą byłam coraz bardziej rozbudzona. Coś przykuwało moją uwagę i powodowało narastające napięcie. W domu panowała idealna cisza, wiatr ucichł, a deszcz przestał uderzać o szyby. Dla wrocławianki, którą codziennie otulały odgłosy niezasypiającego miasta, ten bezgłos był nie do zniesienia. Dotknęłam ekranu komórki, ale nie zareagował. Szlag, zapomniałam ją podłączyć. Spojrzałam w stronę kominka, szczapy ledwie się żarzyły.

– Trzeba podzucić, posuń się piesku. – Zepchnęłam na bok Nukę, która spała zwinęta na moich udach. Nie chciało mi się wychodzić z ciepłego śpiwora, ale jeszcze mniej kolejne godziny spędzić na rozpalaniu tego ustrojstwa. Tylko że drewna zostało niewiele, z całą pewnością nie wystarczy do rana. Nagle mnie olśniło, przecież pan Stanisław mówił, że na czas układania podłóg część zapasu suchego drewna zniósł do piwnicy. Szkoda mu było wyrzucać go na dwór, żeby nie zamokło, bo taras nie miał jeszcze pełnego zadaszenia.

– No trudno, trzeba pofatygować się na dół – westchnęłam niezadowolona. – Mam nadzieję, że przynajmniej tam działa oświetlenie. – Nacisnęłam włącznik, ale nadal panowała ciemność. Czyżby przepaliła się żarówka? Dotykając ściany, przesunęłam się do przedpokojku,

jednak tam również światło nie rozbłysło. Pewnie wichura uszkodziła linię elektryczną. Zrezygnowana, wróciłam po przenośną lampę. Ta na szczęście włączyła się bez problemu. Sprawdziłam poziom naładowania akumulatorów, były cztery kreski, więc wystarczy. Nie chciałam zostać zaskoczona brakiem światła w piwnicy, do której nawet nie zajrzałam po przyjeździe, aż tak dobrze to ja się jeszcze w tym domu nie czuję.

Na dres narzuciłam gruby sweter, to palenie w kominku niewiele dało, nadal odczuwałam przejmujące zimo. Do piwnicy schodziło się z przedpokoj, drzwi skrzypnęły niemiłosiernie. No tak, majster mówił, że aby nie wyziębiał domu, tymczasowo wstawili drzwi ze starej chałupy. Wprawdzie nowe dawno już dotarły, i nawet zostały zamontowane w pozostałych pomieszczeniach, ale o tych jednych chyba ktoś zapomniał. Stały samotnie, oparte o ścianę. Za to te prowadzące do piwnicy wyglądały niezwykle. Spod kilku warstw farby olejnej wyłaniał się rzeźbiony ornament, całość uzupełniały ciężkie, mosiężne okucia i klamka. Nie widziałam ich w starym domu, zresztą wczoraj, jak wchodziłam, to też nie zwróciłam na nie uwagi, ale może powinnam je zachować?

Uchyliłam szerzej drzwi, z dołu powiało chłodem i wilgocią. I było tam coś jeszcze, w powietrzu unosił się mdlący, ciężki zapach. Przez chwilę próbowałam go zidentyfikować, to było coś znajomego. Lilie! To był zapach lilii. Nie znosiłam go. Czyżby składnik jakiegoś środka zabezpieczającego ściany? Przyświecając sobie pod nogi, powoli posuwałam się na dół, z każdym krokiem zapach stawał się intensywniejszy i duszący. Kiedy zeszałam z ostatniego stopnia, od razu poprawił mi się humor, bo równiutki stosik drewna leżał tuż obok. Odetchnęłam z ulgą, dziwnie się tu czułam, chciałam jak najszybciej zabrać opał i wrócić do ciepłego śpiwora. Naładowałam całe naręczce i pochyliłam się, żeby podnieść latarkę. Kiedy po nią sięgałam, niespodziewanie



zgasła. Byłam zaskoczona, akumulatory powinny wystarczyć na jakieś trzy godziny.

W piwnicy panował przejmujący chłód, a moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Teraz miałam wrażenie, że coś zimnego i wilgotnego opływa moje stopy. Nerwowo potrząsnęłam latarką. Zaskoczyła po kilku stuknięciach. Co za ulga, musiało się tylko coś rozłączyć. Szybko zaczęłam wchodzić po schodach. Dopiero na samym szczycie odważyłam się odwrócić i skierować na dół snop światła. Nie wiem, czy to wypite wino, gra świateł, a może zmęczenie, ale przy samym klepisku kłębiła się gęsta, mleczna mgła. Wydobywała się ze spoin podłogi i oblepiając wszystkie zakamarki, powoli sunęła po kamiennych schodach. Im była wyżej, tym bardziej nasilał się słodkawym, wręcz odurzającym, zapach lilii. Zafascynowana, patrzyłam, jak wpełza stopień po stopniu, zajmując coraz większy obszar.

Nie mam pojęcia, jak długo tak stałam, otrząsnęłam się, kiedy zaczęła lizać czubki moich butów. Błyskawicznie pokonałam dystans dzielący mnie od drzwi i z hukiem je zatrasnęłam. Byłam przerażona, chociaż nie byłam pewna, co tak naprawdę zobaczyłam. Przez chwilę wpatrywałam się w szczelinę pomiędzy drzwiami i podłogą, jakby miały stamtąd wypełznąć białe smugi mgły. Logika podpowiadała mi, że to efekt zmęczenia, przywidzenie i powinnam zejść tam jeszcze raz, żeby przerwać ten absurd, ale za nic na świecie bym tego nie zrobiła. W pośpiechu wrzuciłam przyniesione szczapy do kominka i natychmiast wpakowałam się do śpiwora, wciągając do niego zaspaną Nukę. Strach mnie paraliżował, nasunęłam kaptur i zacisnęłam oczy. Starłam się oddychać spokojnie, żeby uspokoić rozdygotane ciało i przerażające myśli kłębiące się w mojej głowie. Tym razem cisza była moim sprzymierzeńcem, koła, skutecznie temperując emocje...

### III

Wiatr szarpał drewniane okiennice, które jednostajnie uderzały o ściany domu. Najpierw wolno, miarowo, a potem coraz szybciej i szybciej, jakby chciały unieść go w powietrze...

– Halo, proszę pani, jest pani tam? – Usłyszałam przytłumiony męski głos.

Usiadłam na materacu i z trudem otworzyłam oczy. Byłam półprzytomna, czułam się, jakby był środek nocy, chociaż słońce już zagłędało przez brudne szyby. Sen mieszał mi się z jawą, sama już nie wiedziałam, co się tak naprawdę wydarzyło dzisiejszej nocy. Powiodłam mętnym spojrzeniem po pokoju. Ziewająca Nuka, torba podróżna, wygasły kominek i przewrócona butelka po winie, wszystko to wyglądało tak zwyczajnie i pospolicie. Na tym tle nocne koszmary wydawały się pijackim zwidem.

– Halo, jest tu ktoś? – Tym razem to z całą pewnością nie był senny majak. Jakiś zarośnięty facet w kombinezonie bębnił w moje okno, wrzeszcząc na pół wsi.

Wygrzebałam się ze śpiwora i podeszłam do drzwi tarasowych. Na wszelki wypadek tylko lekko je uchylałam, nie zwalniając zabezpieczenia.

– Czego się pan tak wydziera i spać ludziom nie daje?

– Spać? – Łypnął na mnie zdziwiony. – Kobieto, jest wpół do drugiej w południe. A ja przywiozłem pani rzeczy i nie mam całego dnia, żeby tutaj sterczeć. Jak się wczoraj balowało – spojrzał wymownie przez moje ramię – to trza se było budzik nastawić. – Pani otwiera te drzwi, bo zrzucim wszystko pod domem – zagroził.

Spojrzałam na niego nieprzytomnie. Jakim cudem może być tak późno? Przecież nie mogłam przespać prawie czternastu godzin? Ale nie

miałam czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać, pogrożka zadziałała jak kubek zimnej wody i natychmiast poleciałam do wejścia. Oprócz brodatego krzykacza stał tam jeszcze młody, wysoki brunet. Spojrzał na mnie z pogardliwą niechęcią.

– Pani Matylda Ryster? – upewnił się, zerkając na trzymane w ręku dokumenty.

– Yyy – zająknęłam się. – No tak – potwierdziłam po chwili.

– No to wnosimy. Pani pokaże, gdzie to stawiać. – Jeszcze raz obrzucił mnie zniesmaczonym spojrzeniem.

No cóż, od niedawna znowu Ryster, bo po rozwodzie wróciłam do panińskiego nazwiska, tylko po dwudziestu latach jakoś ciężko się przestawić. Było mi głupio, że obcy ludzie widzą mnie w takim stanie. Czterdziestosześcioletnia blondynka z lekką nadwagą, potarganymi włosami, odciskami od poduszki na twarzy i podpuchniętymi oczami. Rozciągnięty dres i resztki makijażu, którego nie chciało mi się wczoraj dokładnie zmyć, dopełniały tragicznego obrazu. Nic dziwnego, że facet tak na mnie spojrział.

Po błyskawicznej toalecie, w czasie której unikałam swojego odbicia w lustrze, przeszłam do kuchni zaparzyć sobie kawę i naładować komórkę. Na szczęście pudełko z czajnikiem i kubkami wjechało jako pierwsze. Przez okno widziałam, jak targają moje meble, sapiąc z wysiłku. Może by im też zaproponować kawę? Przez chwilę walczyłam z ludzkim odruchem, ale wzrok młodego, który akurat przechodził pod oknem, skutecznie mnie wyleczył z wszelkich prób bycia miłą.

– Wal się – mruknęłam pod nosem w odpowiedzi na kolejne lekceważące spojrzenie.

Odczekałam, aż bateria komórki osiągnie poziom 5% i nie odłączając jej od zasilacza, wklepałam pin. Telefon zaczął wyrzucać z siebie serię piknięć. Spojrzałam na wyświetlacz. Osiemnaście nieodebranych

wiadomości. Osiem od matki, tyle samo od Michała, jedno od mojej przyjaciółki Weroniki i jedno z nieznanego numeru. Westchnęłam ciężko, wiedziałam, że muszę odprawić pokutę i nie ucieknę od tych telefonów, lepiej zrobić to od razu i mieć z głowy.

Zaczęłam męczący proces oddzwaniania. Od matki usłyszałam, jak niewdzięcznym i egoistycznym dzieckiem jestem. Żeby wbić mnie w jeszcze większe poczucie winy dorzuciła, że przeze mnie musiała się dzisiaj zapisać na wizytę u kardiologa. Chyba zapomniała, że mówiła mi o tej wizycie jakieś dwa tygodnie temu. Rozmowę zakończyła, stwierdzeniem, że ta przeprowadzka to najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam, po czym usatysfakcjonowana zakończyła połączenie.

Mój brat ograniczył się do zakomunikowania mi, że jestem popieprzona i poinformował, że powinien być dzisiaj koło osiemnastej, a na jutro mam naszykować kasę, bo zamówił ekogroszek.

Do Wiki wysłałam jedynie SMS-a, że żyję i odezwę się wkrótce. W odpowiedzi otrzymałam serduszko i buziaka. Przynajmniej jedna osoba, która nie ma o wszystko pretensji i nie wyładowuje na mnie swoich frustracji. Przez chwilę zastanawiałam się, czy powinnam zadzwonić pod nieznaną numer, ale miałam dość rozmów na dzisiaj. Jeżeli komuś zależy, to skontaktuje się ponownie. Byłam w końcu wolną kobietą i pierwszy raz w życiu nic nie musiałam!

\* \* \*

Po jakiejś godzinie panowie skończyli wnosić ostatnie rzeczy, a ja cały czas myślałam o tym, co widziałam albo co wydawało mi się, że widzę ostatniej nocy. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej uważałam, że to niedorzeczne.

Kiedy brodacze wchodził z ostatnim pudłem, nagle wpadłam na genialny pomysł.

– A mógłby mi pan to zanieść do piwnicy? – zapytałam niewinnie. – Tylko proszę uważać, bo tam nie ma oświetlenia – dodałam sekundę za późno, bo jego ręka właśnie nacisnęła włącznik. Spojrzał na mnie zdziwiony, piwnicę zalało jasne światło. Z dezaprobatą pokręcił głową i począł schodzić po schodach. Natychmiast podreptałam za nim.

Pomieszczenie wyglądało całkiem zwyczajnie. Ceglane ściany, wzmocnione metalowymi wspornikami, żarówka zwisająca na białym kablu i glinianą podłoga. Obok drugie pomieszczenie, w którym rozpoczęto układanie cegieł na posadzce i dwa puste regały w kącie. Nic tam więcej nie było. Najbardziej zwyczajna piwnica na świecie. Żadnej mgły, zapachu lilii i innych mniej lub bardziej nieprawdopodobnych zjawisk. Było chłodno, ale nie czułam zapachu wilgoci.

– Pani podpisze zlecenie. Skończyliśmy. – Usłyszałam z góry. Ostatni rzut oka na piwnicę upewnił mnie, że jak mawiała babcia, „strach ma wielkie oczy”, a ja po wypiciu butelki wina nie powinnam się włączyć po domu, którego nie zdążyłam do końca poznać.

\* \* \*

Kiedy ciężarówka zniknęła za zakrętem, głośnie burczenie w brzuchu uświadomiło mi, że ponad dobę nic nie jadłam. Może przynajmniej schudnę. Byłby to niewątpliwie jakiś bonus całej tej historii. Tak czy inaczej trzeba pojechać do Smolnik. O ile pamiętam, były tam dwa sklepy, więc na podstawowe zakupy wystarczy. Zamknęłam Nukę i poszłam do samochodu. Mój wzrok przyciągnęły obrazy złożone na siedzeniu obok kierowcy.

– Jeszcze to – burknęłam. – I co ja mam z tym zrobić? – Nie potrafiłam wyrzucić tych rzeczy, a w domu nie chciałam ich trzymać. Może na razie auto to najlepsze miejsce? Wsunęłam je za tylne siedzenie, chwilowo rozwiązując problem.

Jeszcze nie przyzwyczaiałam się do okolicy, bo za każdym razem kiedy spoglądałam za okno zachwycało mnie piękno krajobrazu, nawet tego burego, listopadowego. Niestety, nie było mi dane zbyt długo cieszyć się okolicznościami przyrody, bo kiedy dojeżdżałam do sklepu, znowu zaczęło padać. Po porannym, a właściwie popołudniowym słońcu zostało tylko mętne wspomnienie. Przynajmniej mam wymówkę, żeby nie myć dzisiaj okien.

Sklepik, jak w wielu wioskach, był częścią prywatnego domu z dodatkowymi drzwiami od strony sporego parkingu. Samo wewnątrz było niewiele większe od mojego salonu, kilka regałów, lada chłodnicza i starsza, miła pani przy kasie. Wyglądała trochę jak dobrotliwa babcia z bajek dla dzieci. Krótkie, siwe, skręcone w drobne loczki włosy, rogowe okulary, spod których spoglądały bystre oczy, rumiane oblicze i duża kraciasta chusta na ramionach sprawiły, że poczułam się tu bezpiecznie.

Rozejrzałam się po sklepie, niestety koszyki tylko ręczne, więc kilka razy obracałam z zakupami. Na szczęście było praktycznie wszystko, czego potrzebowałam, od środków czystości, po świeże lokalne produkty. Tylko wino było marne, no cóż, przy najbliższej okazji trzeba będzie zrobić większe zapasy w Suwałkach.

– To chyba wszystko. – Uśmiechnęłam się, kładąc na kontuarze bochenek pachnącego, żytniego chleba na zakwasie.

– Spore zakupy, pani u nas na dłużej? – Staruszka odwzajemniła uśmiech.

– Tak, na dłużej – zawahałam się – a właściwie to chyba na zawsze – dodałam szybko. Starsza pani przerwała na chwilę kasowanie i spojrzała na mnie uważniej.

– To pani jest z tego nowego domu w Bieluszewie? – W jej głosie pojawiło się zainteresowanie.

– Tak, przyjechałam wczoraj w nocy.

– I nie boi się pani mieszkać na tym odludziu? – zapytała, spuszcżając wzrok i wracając do kasowania produktów.

– A powinnam? – Roześmiałam się nerwowo. Przez chwilę panowała niezręczna cisza. – No przyznam, że czułam się trochę niekomfortowo, jak pół nocy nie było prądu. Często tu wyłączają? – starałam się podtrzymać rozmowę.

– Czasem się zdarza – nadal nie odrywała wzroku od kasy – ale wczoraj nie wyłączyli prądu.

– To może tutaj – zachnęłam się. – Bo w Bieluszewie prądu nie było.

– Był. – Jej głos zabrzmiał stanowczo. – Moja znajoma mieszka w Bieluszewie i przed chwilą z nią rozmawiałam. Gdyby wyłączyli prąd, to z całą pewnością coś by o tym wspomniała, tym bardziej że pół nocy spędziła w oborze. Krowa jej się celiła.

Znowu zapadła kłopotliwa cisza. Myślałam o tym, co powiedziała sklepowa. Mgłę mogłam sobie uroić, ale nie to, że nie było prądu.

– Pięćset dwadzieścia złotych. – Przerwała moje rozmyślenia. Chciałam ją jeszcze zapytać o poprzednich mieszkańców siedliska, ale nagle odechciało mi się rozmowy. Zapłaciłam gotówką i rzuciwszy półgębkiem – Do widzenia – szybko opuściłam sklep, czując na plecach jej spojrzenie.

\* \* \*

Sześć dni z moim bratem minęło błyskawicznie. Trzeba przyznać Michałowi, że jak zwykle, stanął na wysokości zadania. Ale najważniejsze, że pogonił do roboty ekipę. Nie wiedziałam, że w tak krótkim czasie można wykafelkować dwie łazienki, pomalować poddasze, ułożyć resztę podłogi w piwnicy i zrobić całe mnóstwo pracochłonnych „drobiazgów” remontowych.

Jeszcze tego samego wieczora, po swoim przyjeździe, zadzwonił do pana Stasia i postawił sprawę jasno – albo kończą w ciągu tygodnia, albo będą mieli kontrolę urzędu skarbowego, a ja ochoczo opowiem, na ile robót nie wystawili mi faktury. Poza tym poinformował go, że jest moim pełnomocnikiem i nie dość, że zamierzam podać ich do sądu o zapłatę kary umownej z powodu niedotrzymania terminów, to mogą zapomnieć o wypłaceniu reszty należności. Następnego dnia już bladym świtem zjechała cała ekipa i pięciu robotników z posepnymi minami uwijało się po moim domu. Cóż, pewnie żadnego zlecenia już ode mnie nie wezmą, ale efekt był oszałamiający. W ramach przeprosin za opóźnienie, a właściwie wymuszenia Michała, zamontowali mi jeszcze lampy i ustawili meble. Dom był skończony i wyglądał pięknie. Jak widać, czasem jest jakiś pożytek z brata prawnika.

Działał też piec, a w opał byłam zaopatrzona na co najmniej trzy zimy. Kiedy przywieźli ekogroszek, z nieufnością przyglądałam się fakturze. Na pewno nie były to trzy tony, ale co najmniej trzy razy tyle. Worki ledwie się zmieściły w kotłowni. Przypuszczam, że mój zamożny i nadopiekuńczy braciszek sporo dołożył do tego interesu. Ale nie drażyłam tematu, najważniejsze, że w domu było ciepłutko, sucho i przyjemnie.

\* \* \*

Ostatni wspólny wieczór spędzaliśmy przy kominku. Michał sącył koniak, ja czerwone wino. Po wizycie w suwalskiej Vinotece, miałam już niezłe zapasy w piwnicy, więc nie musiałam się ograniczać.

– Musisz jutro wracać? – zapytałam.

Dobrze mi robiło jego towarzystwo. Dawno już nie spędziliśmy tyle czasu tylko we dwoje. Zawsze wiedziałam, że mogę na niego



liczyć, ale w najśmielszych snach nie przypuszczałam, że poświęci mi tyle uwagi, a nawet pomoże w sprzątaniu.

– A co jest? – Michał zmarszczył brwi. – Przecież wszystko działa, chata skończona – dodał zdziwiony.

– Tak, ale... – zawahałam się.

Przez cały ten czas nie opowiedziałam bratu o moich przygodach w czasie pierwszej nocy, tym bardziej że wszystkie kolejne były spokojne. Teraz podjęłam szybką decyzję. I tak ma mnie za stukniętą, więc co mi tam... i zaczęłam opowiadać.

Kiedy skończyłam, Michał spoglądał na mnie z niedowierzaniem.

– Mati, ty tak poważnie? – Przyglądał mi się z niepokojem. – Pokaż to monidło i lalkę – zażądał.

– Są w samochodzie, ale nie chcę ich w domu – zastrzegłam.

– OK, to pójde obejrzeć. Daj kluczyki i latarkę. – Podniósł się z fotela.

Kiedy wyszedł, z niepokojem podeszłam do okna. Było już ciemno, więc niewiele mogłam dojrzeć. Po kilku minutach trzasnęły drzwi i mój brat wrócił do środka. Ruchem ręki przesunął mnie na bok i zaczął przyglądać się drzwiom do piwnicy. Potem bez słowa nacisnął klamkę i zszedł na dół.

– To piękne drzwi – powiedział po powrocie. – Dobrze zrobiłaś, że je zostawiłaś, ale trzeba je oczyścić i zabejcować. – Uklęknął i z zainteresowaniem począł wodzić po nich palcem. – Niezwykły ornament, jeszcze takiego nie widziałem. – Michał przez rok studiował historię sztuki, zanim uznał, że najważniejsze w życiu jest poczucie bezpieczeństwa, a to dają tylko pieniądze, i szybko przeniósł się na wydział prawa. – Wygląda trochę jak labirynt – dodał.

Rzeczywiście, wcześniej na to nie zwróciłam uwagi, ale ta niezwykła płatanina kresek mogła przywodzić na myśl labirynt.

– Chodź! – Pociągnął mnie za rękę. – Musimy pogadać.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Czekając, przyglądałam się swojemu przystojnemu bratu. Był kompletnym przeciwieństwem mnie. Wysoki brunet, szczupły, wysportowany, z lekkim zarostem, bujną czupryną bez cienia siwizny i intensywnie zielonymi oczami, stanowił usposobienie męskości. Zawsze na luzie, wiedział, co powiedzieć i potrafił z prawniczym wdziękiem wybrnąć z każdej, nawet najbardziej niezręcznej sytuacji. Już od czasów liceum dziewczyny za nim szalały, nie mówiąc o mojej matce, która miała na jego punkcie kompletnego bzika. Byłam chyba jedyną kobietą w jego życiu, której nigdy nie potrafił zmanipulować. Teraz patrzył na mnie zatroskany, próbując dobrać właściwe słowa.

– Miałaś ostatnio ciężki okres i jesteś bardzo zmęczona – zaczął tonem, jakim mówi się do zdenerwowanego dziecka. – Przyjechałaś tu w nocy, twoja wyobraźnia pracowała, do tego wypity alkohol... – Zawiesił na chwilę głos. – Nie chcę zostawiać cię samej, ale prowadzę kancelarię. I tak musiałem odwołać część klientów, resztę zepchnąłem na Andrzeja. Do tego Anka wydzwania... – tłumaczył.

Poczułam ukłucie winy, miał rację, musiałam wziąć się w garść. Wiem, że się dla mnie poświęcił. Pamiętam, ile czasu planował każdy, nawet bardzo krótki wyjazd, a tym razem musiał zrobić to z dnia na dzień. No i Anka, jego wieczna narzeczona, seksowna, naburmuszona modliszka. Zazdrosna o każdą minutę, którą spędzał bez niej. To i tak cud, że pozwoliła mu na tyle dni wolności. Musiał jej chyba naopowiadać niestworzonych rzeczy o załamaniu nerwowym młodszej siostry.

– Wiem, że to, co powiedziałam, brzmi idiotycznie – westchnęłam. – Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc, to dla mnie wiele znaczy. Zresztą, odkąd tu jesteś, nic się nie wydarzyło. – Słowem nie zająknęłam się o rozmowie ze starszą panią ze sklepu. – Właściwie opowiedziałam ci to tylko dlatego, żeby spojrzeć na całą sprawę z innej perspektywy – zakończyłam uspokajająco.

Michał przyglądał mi się, milcząc. Byłam zła na siebie, że zepsułam ten ostatni wspólny wieczór.

– Wiesz co? Spróbuję pogrzebać i dowiedzieć się czegoś o historii tego miejsca. – Mój brat chyba naprawdę się przejął. – Jeżeli chcesz, to zabiorę ze sobą obrazy i lalkę do Warszawy, może to sprawi, że poczujesz się spokojniejsza.

– Byłoby świetnie, gdybyś poszperał – ucieszyłam się. – Sama też popytam sąsiadów. Jak tylko uda mi się ich poznać, bo do tej pory jakoś nie miałam czasu. Ale obrazów i lalki nie zabieraj. Czuję, że są jakoś związane z tym miejscem i nie powinny stąd wyjeżdżać. Nie wiem tylko, gdzie je będę trzymać.

– Jak chcesz, siostra – westchnął. – Postaram się wpaść do ciebie w przyszłym miesiącu. Tylko obiecaj, że będziesz pamiętać o ładowaniu komórki i odbierała telefony matki, bo wszyscy przez ciebie zwa-riujemy. – Uśmiechnął się gorzko. – A teraz idę spać, bo muszę wcześniej wyjechać, jutro po południu mam ważne spotkanie. Pamiętaj, że zawsze możesz mi wszystko powiedzieć i to bez względu na to, jak bardzo nieprawdopodobne będzie ci się to wydawało – zakończył, całując mnie w czoło.

## IV

Kolejny dzień przywitał nas mglistym porankiem. Po pospiesznym śniadaniu Michał odjechał, a ja znowu poczułam lekki niepokój. Te parę dni z bratem sprawiły, że odzyskałam równowagę psychiczną i udało mi się tu zadomowić. Wszystko było takie zwyczajne i oczywiste. Wspólne posiłki, wspólna praca, śmiech i wieczorny kieliszek wina przy kominku. Chyba była mi bardzo potrzebna taka namiastka normalności. Najwyższa pora, żebym zaczęła się przyzwyczajać, że jestem sama. To trudne po tylu latach bycia w związku.

– Przynajmniej ty mnie nie zostawisz! – Potargałam Nukę za ucho. Sapnęła z zadowoleniem i pomerdała ogonem gotowa do zabawy. – Nic z tego piesku. – Pogłaskałam ją po grzbiecie – muszę jechać.

Miałam dzisiaj napięty grafik. Powinnam się w końcu zameldować, więc czekała mnie wizyta w urzędzie gminy, potem Suwałki, gdzie zamierzałam zrobić większe zakupy, ale postanowiłam, że zostawię sobie część sprawunków na wizytę w drugim sklepie w Smolnikach. Zajadę tam, wracając z miasta, może sprzedawczyni będzie mniej tajemnicza i bardziej przystępna. A przy okazji wyjazdu do Suwałk chciałam jeszcze odwiedzić miejską bibliotekę i poszukać czegoś o motankach.

Byłam gotowa i właśnie zbierałam się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz, to ten sam numer, który dzwonił do mnie pierwszego wieczoru po przyjeździe.

– Ryster, słucham – rzuciłam sucho.

– Dzień dobry, pani Matyldo. – Usłyszałam głęboki męski głos. – Cieszę się, że udało mi się z panią skontaktować. Czy mógłbym zająć chwilę?

– Jeżeli rzeczywiście chwilę, to proszę. Śpieszę się. – Chciałam jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Nie miałam ochoty na nowy odkurzacz, krem do twarzy czy badania prostaty...

– Może dzwonię nie w porę – strapił się mój rozmówca.

– Nie, proszę mówić. – Naprawdę nie miałam ochoty na kolejne telefony.

– Pani Matyldo, jest pani właścicielką siedliska w Bieluszewie – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Jestem zainteresowany odkupieniem tego miejsca i oferuję niezwykle atrakcyjną cenę. Czy moglibyśmy się spotkać?

Chwilę potrwało, zanim dotarł do mnie sens słów mojego rozmówcy.

– Halo, pani Matyldo, jest pani tam? – zaniepokoił się głos.

– Jestem – wycodziłam. – Skąd pan ma mój numer telefonu, wie, jak się nazywam i skąd panu przyszło do głowy, że chcę sprzedać dom? – wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu.

– Nie ma w tym nic tajemniczego – mężczyzna starał się mnie uspokoić. – Znalazłem w Internecie ofertę sprzedaży siedliska i zadzwoniłem do agenta. Okazało się, że ogłoszenie jest nieaktualne, ale podał mi namiary na panią. Więc jak będzie, pani Matyldo? Możemy się spotkać?

– Nie możemy. – Staralam się, żeby mój głos brzmiał stanowczo. – Nie jestem zainteresowana sprzedażą i to bez względu na cenę.

– Może jednak się spotkamy? Najlepiej na jakimś neutralnym gruncie, bo pewnie pani nie chce się spotykać w Bieluszewie. Bardzo chciałbym z panią porozmawiać – nalegał.

– Naprawdę szkoda pana czasu, nie zmienię zdania i proszę do mnie więcej nie dzwonić. Do widzenia. – Zakończyłam.

– Pani Matyldo... – próbował jeszcze coś powiedzieć, ale przerwałam połączenie.

Co to miało być? Facet chyba zwariował, jak można, ot tak, zadzwonić do kogoś i zaproponować mu kupno domu? Swoją drogą muszę zatelefonować do pośrednika i powiedzieć mu do słuchu. Jakim prawem podał temu człowiekowi moje dane i telefon, to kompletny brak profesjonalizmu.

Wściekła, zatrzasnęłam drzwi i wsiadłam do samochodu.

\* \* \*

Kiepsko poszło mi w Suwałkach. Wprawdzie zakupy zrobiłam wszystkie, ale w bibliotece niewiele znalazłam. Niestety, miejscowa bibliotekarka również nie potrafiła mi pomóc, nawet nie wiedziała, co to jest motanka.

Wracałam więc w minorowym nastroju, a czekała mnie jeszcze wizyta w smolnickim sklepie. Zaczynało się ściemniać, kiedy dojechałam na miejsce. Sklep był bardzo podobny do tego z drugiego końca wsi, chociaż na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma większy asortyment. Za ladą stała młoda, pyzata dziewczyna, z czarną jak smoła, postrzępioną czupryną i mocnym makijażem. Jak tylko przekroczyłam próg sklepu, uśmiechnęła się promiennie na mój widok.

– Dzień dobry. – Głos też miała radosny.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, znikając pomiędzy półkami. Chwilę zajęło mi znalezienie wszystkich wiktuałów z mojej listy. Przy okazji stwierdziłam, że sklep ma prawie wszystko, czego na co dzień potrzebuję, więc chociaż położony dalej ode mnie, to tu będę robiła zakupy.

Z pełnym koszykiem podeszłam do kontuaru, zastanawiając się, jak nakłonić ją do rozmowy. Na szczęście dziewczyna sama miała ochotę na pogaduszki.

– Pani z siedliska?– zagadnęła. – Poznałam po samochodzie – dodała szybko. – Nikt tu nie ma czerwonego jeepa.

– Tak, z Bieluszewa – potwierdziłam, nie wyprowadzając jej z błędu, że wcale nie jeżdżę jeepem tylko suzuki.

– Suuuper – przeciągnęła zabawnie to słowo. – Z mężem pani tam mieszka czy sama? Bo ludzie różnie mówią – dodała zaciekawiona. W jej ustach zabrzmiało to tak naturalnie, że nawet się nie obruszyłam.

– Jak to na wsi, ludzie wszystko wiedzą. – Zaśmiałam się ironicznie. – Mieszkam sama. Przez tydzień był u mnie brat, ale właśnie wyjechał.

– Się pani nie przejmuj. Pogadają i przestaną. Zawsze jak co nowego na wsi, to maglują.

– A jest jakiś specjalny powód tego zainteresowania?

– Nie, dlaczego? – Zdziwiła się. – Płaci pani 132 złote. – Podaje mi paragon.

– Tak tylko pytam. Ostatnio ktoś mnie zagadnął, czy nie boję się tam mieszkać. – Grzebałam w portfelu, żeby zyskać na czasie.

– Aaa, o to chodzi. – Młasnęła gumą do żucia. – No bo wszyscy wiedzą, że tam straszy. Doliczyć reklamówkę? – Płynnie przeszła do obowiązków zawodowych.

– Nie, mam swoją, dziękuję. – W duchu modliłam się, żeby nikt nie wszedł do sklepu. Już wiedziałam, że to będzie najdłuższe w moim życiu pakowanie zakupów. – Co to znaczy straszy? – starałam się, żeby mój głos był całkowicie opanowany.

– No wie pani, u nas siedlisko w Bieluszewie to taka trochę żytnia baba. – Roześmiała się. – Wszystkie dzieci nim straszyli. Dom, odkąd pamiętam, stał pusty, ale nikt się tam nigdy nie zapuszczał. Wszyscy byli zdziwieni, że go pani kupiła.

Przypomniały mi się puste butelki, które wały się po kątach chaty.

– No chyba nie wszyscy, jednak byli jacyś odważni, bo kiedy oglądałam dom, to natknęłam się na świeże ślady libacji.

– Jeden raz chłopaki tam imprezowali. – Nagle spowaźniała. – Krótco przed tym, jak pani zaczęła remonty. Poszli we trzech opić egzaminy maturalne. Mówili, że miejscówka idealna, nikt ich nie namierzy i nie będzie przeszkadzał. Tak naprawdę to nie wiadomo, co się wtedy wydarzyło. Podobno pamiętają tylko, jak pili, potem stracili przytomność i obudzili się rankiem, ale musiało być coś jeszcze, bo żaden z nich już tam nigdy nie wrócił, a i mówić nic nie chcieli – zakończyła cicho.

– Oni są stąd? Można z nimi porozmawiać? – zainteresowałam się.

– Nie, już nie. Marek zabił się w tamtym roku, zawsze jeździł jak wariat tym swoim motorem. Wszyscy wiedzieli, że wcześniej czy później tak skończy. Krzysiek wyjechał na studia, nie wiem gdzie, i praktycznie od tamtego czasu nie przyjeżdża do ojców, a Tomek wstąpił do seminarium zaraz po maturze.

– Nie uważa pani, że to dziwny zbieg okoliczności?

– Nie, dlaczego? – Wzruszyła ramionami. – Tutaj mało kto zostaje po szkole. Każdy, kto ma taką możliwość, ucieka do miasta.

– Smutne – skonstatowałam. – A skąd się wzięły te opowieści, że w siedlisku straszy? Wydarzyło się tam coś złego, ktoś zginął? – dopytywałam.

– A wie pani, że nie wiem. – Przez chwilę się zastanawiała, jakby sama zaskoczona brakiem uzasadnienia legendy Bieluszewa. – Zawsze się tak mówiło. Może dlatego, że tam nigdy nikt nie mieszkał. Podać coś jeszcze? – Dziewczyna miała zadziwiający talent zmiany tematu i chyba była już znudzona naszą rozmową.

– Nie, dziękuję, to wszystko. A właściwie jeszcze jedno – zawahałam się. – Jest ktoś, kto może pamiętać historię tego siedliska?

– Stara Linkiewiczowa – powiedziała bez zastanowienia. – To babka Tomka, tego, co poszedł do seminarium. Ona wie wszystko i jest tak wiekowa, że chyba pierwszą wojnę pamięta. Mieszka w Jacznie, przy samym lesie, każdy pani drogę wskaże.



Podziękowałam, pożegnałyśmy się uprzejmie i wyszłam ze sklepu. Dopiero na zewnątrz poczułam, jak bardzo byłam roztrzęsiona po zasłyszanych rewelacjach. Ręce mi drżały, a serce tłukło się jak oszalałe. Pamiętałam, że w samochodzie miałam schowaną paczkę papierosów na wszelki wypadek. Zdecydowanie to był właśnie ten wypadek. Zaciągnęłam się głęboko i poczułam ohydny, a zarazem kojący smak nikotyny. Tego mi właśnie było potrzeba. Po chwili uspokoiłam się na tyle, że mogłam bez problemu prowadzić. Dzisiaj chciałam już tylko wrócić do domu.

## V

Kiedy otworzyłam drzwi, Nuka skoczyła na mnie, piszcząc z radości. Wiedziałam, że jestem jej winna spacer i chociaż już mocno zmierzchało, nałożyłam czółówkę, kalosze, płaszczyk zamieniłam na grubą kurtkę i poszłyśmy nad jezioro. Nuka wesoło buszowała po krzakach, a ja starałam się nie skrócić nogi na śliskich i nierównych kępach.

Działka, która zachwycała latem, późną jesienią wyglądała dość przygnębiająco. Cały olszowy las stał w wodzie, zalana była też część niżej położonego terenu, i to chyba nie było incydentalne. Dopiero kiedy się wprowadziłam, miałam czas przyjrzeć się roślinności, a właściwie jej zamierającym na zimę resztkom. Nie byłam znawczynią, ale rozpoznałam liście kokszańca i pałki, co ewidentnie wskazywało na podmokłe tereny. Pomiedzy bezlistnymi pniami widać było splątane, niskie krzewinki, na niektórych owijał się bluszcz. Każdy mój krok sprawiał, że światło latarki przesunęło się po lesie, powodując złudzenie ruchu. Wrażenie potęgował wzmagający się wiatr, który kołysał gałęziami.

Coś zatrzeszczało za moimi plecami. Zamarłam, wprawdzie byłam na swojej ziemi, ale teren nie był ogrodzony, nie mogłam się tu czuć w pełni bezpiecznie, szczególnie po ciemku. Chrząst łamanych gałęzi nasilał się, ktoś bardzo szybko przemieszczał się w moim kierunku. Poszukałam wzrokiem Nuki, teraz żałowałam, że spuściłam ją ze smyczy.

– Kto tam jest? – krzyknęłam. Z lasku wyskoczyła spłoszona sarna, kierując się w stronę łąki sąsiada. Odetchnęłam z ulgą, ale tylko na moment, bo za uciekającą sarną natychmiast wystartował mój pies, zupełnie nie reagując na moje rozpaczliwe pokrzykiwania.

– Nuka! Wracaj natychmiast!, Nuka! – Biegłam za nią, rozpryskując błoto. Cholera, jak ja ją znajdę po ciemku.

Wbiegłam w rozlewisko, czując jak woda nalewa mi się do kaloszy. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak głęboko. Kiedy spacerowałam tu latem, teren wydawał się tylko odrobinę obniżony. Mimo to starałam się biec jak najszybciej w kierunku, w którym zniknęła Nuka. Ale po chwili już nic nie widziałam i nie słyszałam.

– Nuka! – zawołałam płaczliwym tonem. – Nuuuukaaa!

Stanełam, starając się zlokalizować odgłosy psa. Panowała idealna, niczym niezmacona cisza. Dopiero teraz poczułam, jak lodowata jest woda. Muszę stąd natychmiast wyjść. Skierowałam się w stronę drogi prowadzącej do domu. Moje buty ślizgały się, nie znajdując twardego oparcia i coraz trudniej było mi je wyciągać z błota. Każdy kolejny krok sprawiał mi większy problem.

Miałam irracjonalne wrażenie, jakby ktoś obserwował mnie od strony jeziora. Tym razem odwróciłam się, próbując stawić czoło swoim lękom. Z przerażeniem zobaczyłam, jak w moją stronę wolno sunie srebrzysta poświata. Wyteżyłam wzrok, to była mgła. Pierwszy raz widziałam taki spektakl. Płoczyła się nisko przy samym gruncie, kłębiąc się i owijając każdy napotkany badył. Wsuwała między drzewa, otulając je szczelnie grubą warstwą i okrywając splątane krzewinki. Z każdą chwilą obejmowała bardziej rozległy teren, cały czas przemieszczając się zwartą linią. Niesamowite wrażenie potęgowała wszechobecna martwa cisza zapadająca na obszarze, który zajmowała mgła. Szalejący przed chwilą wiatr ucichł, nagle jakby wszystko dookoła zamarło w oczekiwaniu. Pomimo że jeszcze do mnie nie dotarła, czułam jej wilgotny, lodowaty i porażający powiew.

W panice zaczęłam biec w stronę domu, nadal histerycznie nawołując psa. Bałam się odwrócić po raz kolejny. Podobnie jak w piwnicy, ta mgła mnie przerażała.

Zdyszana, dobiegłam do ganku i nerwowo próbowałam otworzyć drzwi, kiedy coś z dużą siłą uderzyło mnie w udo. Zachwiałam się i spojrzałam w dół.

– Nuka! – Prawie rozplakałam się ze szczęścia, widząc utytłaną w błocie psinę. Szybko zapięłam ją na smycz. Jeszcze kilka sekund i udało mi się w końcu przekręcić klucz w zamku. Błyskawicznie wciągnęłam psa do domu i zatrzasnęłam drzwi.

\* \* \*

Godzinę później, kiedy obie już byłyśmy wykąpane, odważyłam się spojrzeć przez okno.

Mgła była wszędzie, zwarcie okalając dom. Snuła się nisko przy samej ziemi, srebrząc w blasku księżyca i przypominając grubą warstwę śniegu. Dziwne, ale za każdym razem nie podnosiła się wyżej niż na około metr. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że nie powinnam jej widzieć, przecież nie zostawiłam na zewnątrz włączonego światła. Jednak mgła błyszczała i skrzyła, na przekór prawom fizyki, jakby ktoś ją posypał fosforyzującym proszkiem.

Moja wyobraźnia pracowała na wysokich obrotach, chociaż logika podpowiadała, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Przy takiej wilgotności i całkiem ciepłym dniu, wieczorna mgła to normalne zjawisko. I z całą pewnością nie świeci, tylko odbija światło księżyca. Reszta to emocje i imaginacja. Jedno jest pewne, że jeszcze kilka takich epizodów, a wpadnę w alkoholizm – stwierdziłam, dolewając sobie merlota.

Próbowałam czytać, ale nie umiałam skupić się na treści książki, moje myśli wciąż krążyły wokół dzisiejszych wydarzeń. Przytuliłam się więc do Nuki, która głośno chrapała, zmęczona pogonią po rozlewiskach. Nie wiem, która mogła być godzina, kiedy w końcu zmęczenie wzięło górę i zapadłam w niespokojny, nieprzynoszący odpoczynku sen.